



ERIK J. BROWN



TO, CO ZOSTAJE PO KOŃCU ŚWIATA

Tłumaczył
MIŁOSZ URBAN

must read



KEY WEST

ISLAMORADA

KEY LARGO

HOMESTEAD

DELRAY BEACH

JUPITER

JACKSONVILLE

YULEE

DARIEN

FORT CAROLINE

HARDEEVILLE

COOSAWHATCHIE

RALEIGH

WSCHODNIE WYBRZEŻE STANÓW ZJEDNOCZONYCH



Tytuł oryginału

ALL THAT'S LEFT IN THE WORLD

Copyright © 2022 by Erik J. Brown

Copyright © 2023 for this translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki Luke Martin, 2022

Opracowanie polskiej wersji projektu okładki i łamanie

Andrzej Komendziński

ISBN 978-83-8265-275-8

Must Read jest imprintem wydawnictwa

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

Druk Abedik

**DLA MOJEJ WSPANIAŁEJ,
KOCHAJĄCEJ
I WSPIERAJĄCEJ MAMY
ANN MARIE BROWN.
KOCHAM CIĘ NIESKOŃCZENIE
I JESZCZE BARDZIEJ.**



ANDREW

Mam nadzieję, że w miejscu, do którego trafiamy po śmierci, znajdzie się przytulna sala kinowa, gdzie można usiąść i w ciszy obejrzeć na ekranie sekwencje wydarzeń, prowadzących do przełomowych momentów życia. Co ja mógłbym zobaczyć: wysmakowane długie ujęcie pacjenta, który jako pierwszy złapał wirusa – muzyka autorstwa Philipa Glassa, coś pełnego napięcia i klimatycznego – a potem przejście i od razu pandemia w pełnej krasie, przebitki ze śmiercią moich przyjaciół i bliskich, i na koniec jakiś szurnięty survivalowiec zastawiający jedenaście minuty wcześniej pułapkę na niedźwiedzie.

Przeskok w czasie, na ekranie dalej widać pułapkę. Obok przechodzi niedźwiedź, potem spada na nią gruba gałąź i ją przykrywa, ale jakimś cudem stalowe szczęki się nie zatrzaszczają.

Siedzę sobie wygodnie, żuję kwaśne żelki i zajadam się maślanym popcornem, zastanawiając się, o co w tym chodzi, kiedy na ekranie pojawia się ja, we własnej osobie, i radośnie staję centralnie w potrzasku.

A, racja, no tak.

Pamiętam, że spędziłem niemal trzy godziny krzycząc, płacząc i próbując otworzyć pułapkę. W końcu obwiązałem szczęki koszulką z plecaka i wykorzystałem gałąź, którą zesłał mi los – tę samą, która ochroniła moją nogę przed obcięciem, żeby rozchylić pordzewiałe żelastwo.

I znów widzę siebie, jak na jednej nodze skaczę po lesie, a drugą, zranioną, mam obwiązaną żółtawym T-shirtem. Dobrze, że

ogłędając te sceny w następnym życiu, przynajmniej mogę się cieszyć palącym język kwaśnym posmakiem żelków.

Bo teraz na przykład jedyne, co mam do jedzenia, to schowanych w plecaku kilka puszek zdobytych gdzieś w Jersey, zanim coś mi strzeliło do głowy i wpadłem na idiotyczny pomysł unikania głównych dróg.

Opieram ciężar ciała na kuli wsuniętej pod ramię i krzywię się z bólu. W rzeczywistości to nie kula, tylko duża gałąź, którą znalazłem. Żeby mi było wygodniej, zeszłej nocy owinąłem jej rozwidlający się koniec swetrem, ale to nic nie dało; mam wrażenie, że moja pacha zamieniła się w jeden wielki siniak.

Ból w nodze jest coraz gorszy. Każdy krok zdrowej nogi wywołuje w zranionej napięcie, które żywym ogniem pali mi łydkę. Ubiegłego wieczoru, już po znalezieniu odpowiedniej gałęzi, próbowałem odpocząć. Miałem dreszcze, noga mi drętwiała i byłem mokry od potu. Kilka razy zapadałem w niespokojny sen, bojąc się, że już się nie obudzę, jednak kiedy rankiem wstało słońce, miałem otwarte oczy i oddychałem.

A teraz skaczę przez las, bez bladego pojęcia, gdzie znajdę najbliższą drogę. Mam tylko nadzieję, że jeśli będę szedł cały czas prosto, w końcu na coś trafię. Drogę, miasteczko czy choćby strumień, w którym mógłbym obmyć ranę. Cokolwiek, byle uniknąć zakażenia. No, teraz oczywiście rozglądam się w poszukiwaniu potrzasków na niedźwiedzie, co też nie pomaga utrzymać dobrego tempa.

Niebo zasłaniają nisko wiszące chmury, więc nie mam zielonego pojęcia, która jest godzina, kiedy natrafiam nie na drogę, a na drewniany domek. Jest śliczny. Prosty. Patrząc z zewnątrz po rozmiarach, może mieścić dwa pokoje. Od frontu znajduje się niewielka weranda, a na niej stoją dwa krzesła, rozdzielone dużym oknem. Zasłony nie pozwalają zajrzeć do środka, a żwirowa dróżka prowadząca do drzwi oraz schody przykryte są liśćmi.

Podjazd jest pusty, nie ma na nim samochodu. Może nikt tu nie mieszka. Właściciele zaniedbali leśną chatkę, bo leżą martwi w sypialni swojego apartamentu w dużym mieście albo w którymś z masowych grobów.

Albo zostali zastrzeleni przez innego ocalałego, a ich zwłoki zostały porzucone na poboczu.

Wychodzę ostrożnie spod osłony drzew i stoję na żwirowej drodze.

Wygląda na to, że od dłuższego czasu nikt tego miejsca nie odwiedzał. Przy schodkach dostrzegam niewielką, pękającą skrzatkę ogrodową. W ramionach trzyma puchatą owieczkę i uśmiechnięta siedzi na dużej ropusze, patrząc na podjazd, jakby na kogoś czekała.

Czuję się nieswojo.

Tym bardziej że nie jest przykryta liśćmi. Jakby sama je z siebie strząsnęła.

Ale nie myślę o tym zbyt wiele – ogrodowe skrzaty, które ożywają, gdy się na nie nie patrzy, to najmniejszy z moich obecnych problemów. Na werandę prowadzą cztery schodki. Może dobrze byłoby wskoczyć na górę i sprawdzić, czy drzwi są otwarte.

Oczywiście, że nie będą – to byłby nadmiar szczęścia. Ładny, spokojny domek w środku lasu, otwarty i wolny? Może jeszcze z zapasem jedzenia w środku? W nagrodę pozwalam sobie przez chwilę fantazjować, po czym kuśtykam przez żwir w stronę schodów.